

Czarownica z Zielonej Góry



Eugeniusz Paukšta

Eugeniusz Pauksza

CZAROWNICA Z ZIELONEJ GÓRY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-69-2

Copyright © Eugeniusz Pauksza

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS RZECZY

I. OD AUTORA

II. WIELECI

III. W MIĘDZYRZECKIM EREMIE

IV. GDY GNIEW SIĘ ROZPALAŁ

V. SZCZURY KSIĘCIA BOLESŁAWA

VI. KRÓLEWSKI POPIELEC

VII. WIELMOŻA WINCENTY

VIII. ZBÓJECKA WAROWNIA

IX. MISJA JOHANNA VON ELBING

X. KRWAWA SUKCESJA

XI. BUNT U SUKIENNIKÓW

XII. GORZOWSKIE SWARY

XIII. ESKAPADA NAMIESTNIKA PROKOPA

XIV. PARTYZANT

XV. JAKO PAN PASEK Z DRUHAMI ZA ODRE MASZEROWAŁ

XVI. CZAROWNICA Z ZIELONEJ GÓRY

XVII. TADDEO POLACCO

XVIII. BRANDENBURSKA VICTORIA

XIX. CHŁOPSKIE BOJE

XX. JAK CHŁOP Z POŁUPINA PRZECHYTRYŁ FRYDERYKA WIELKIEGO

XXI. RANEK ŚLEPEGO BIBLIOTEKARZA

XXII. OSTATNI ŻOŁNIERZ RZECZYPOSPOLITEJ

XXIII. PRUSKIE RUGI

XXIV. POD KARGOWĄ

XXV. POLENKÖNIG

I. OD AUTORA

Zakreślając sobie dawno już temu plan tomu opowiadań, w których chciałem zamknąć najważniejsze wydarzenia z historii Ziemi Lubuskiej, wiedziałem, że napotkam wiele trudności. Poza paru pracami wydanymi przez Instytut Zachodni w Poznaniu dopiero mozolne poszukiwania pozwalają wyłowić nieliczne przekazy historyczne, przyczynki i fragmentarycznie opracowane zagadnienia. Niemniejszą trudność stanowił w minionym okresie stosunek niektórych wydawców do wielu problemów naszej przeszłości historycznej, co z góry niejako skazywało cały szereg prac na niemożność publikowania. Z tych względów pisane w roku 1952 opowiadania tylko w części doczekały się druku w tomie „Kartki z Ziemi Lubuskiej” (wyd. „Naszej Księgarni”, r. 1954).

Na tom niniejszy składają się więc zarówno publikowane już opowiadania w „Kartkach z Ziemi Lubuskiej”, jak i te, które musiały odczekać swój czas w szufladzie pisarskiej. Doszedł też szereg prac nowych, opartych na materiałach wyszperanych w źródłach archiwalnych. W sumie dopiero stwarza to pewną całość dającą czytelnikowi możliwość śledzenia przeszłości Ziemi Lubuskiej bez zasadniczych luk, od zarania polskich dziejów po chwilę obecną.

Oddając w ręce czytelnika ten zbiór opowiadań, gawęd i obrazów z przeszłości, pragnę złożyć serdeczne podziękowanie profesorowi Michałowi Szczanieckiemu, że zechciał mnie wspomóc swą rozległą wiedzą. Dzięki niemu mogłem zapoznać się z prawie całym dostępnym materiałem naukowym, zarówno polskim, jak i niemieckim, a nawet sięgnąć do źródeł i prac dotąd nie publikowanych. Niemniej wiele ciepłych słów winienem mgr. Zygmuntowi Rutkowskiemu, pracownikowi naukowemu Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Zielonej Górze, rozkochanemu w przeszłości Ziemi Lubuskiej, który wprowadził mnie w arcyciekawy i bogaty świat nie znanych przeważnie źródeł i przekazów historycznych. Życzliwa rada i przyjazna zachęta obu naukowców każą mi wypowiedzieć tu słowa wdzięczności. Nie mógłbym nie wspomnieć również o przyjaznej pomocy udzielonej mi przez Wojciecha Żukrowskiego, zarówno w napisaniu słowa wstępnego do „Kartek z Ziemi Lubuskiej”, jak i przy pracy nad zawartym tam materiałem.

Będę szczęśliwy, jeśli ten tom ułatwi Czytelnikowi pokochanie ziemi nadodrzańskiej i przypomni jej burzliwe dzieje.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Poznań, w marcu 1957 r.

II. WIELECI

Jedna z najdawniejszych wzmianek o państwie polskim znajduje się w kronice dziejów saskich, napisanej w latach sześćdziesiątych X w. przez mnicha saskiego – Widukinda. Notuje on m. in. awanturnicze losy wielkiego pana feudalnego, Wichmana, który wobec wykrycia prowadzonych przez niego intryg przeciwko jego władcy, cesarzowi Ottonowi, musiał uciekać ze swych ziem.

Początkowo Wichman szukał schronienia u margrabiego Gerona, także Sasa, mającego za zadanie ochronę wschodnich krańców państwa niemieckiego i podbój sąsiednich ziem słowiańskich. Gero wsławił się swoją podstępnością i okrucieństwem. On to zaprosiwszy około trzydziestu książątek słowiańskich otrul ich na uczenie. Gero jednak – jak pisze Widukind – pamiętając o swej przysiędze na wierność cesarzowi, pozbył się Wichmana i jego drużyny, radząc im udać się do słowiańskiego plemienia Redarów.

Redarowie tworzyli wraz z kilkoma innymi plemionami związek wielecki. Odgrywał on wielką rolę polityczną na terenie ziem nadbałtyckich.

Dawniejsi historycy przypuszczali, iż wspólną wyprawę z Wioletami na wzrastające w potęgę państwo polskie doradził Wichmanowi Gero, chcąc w ten sposób zapewnić powodzenie projektowanej przez siebie wyprawie na słowiańskie Łużyce. Ostatnie badania wykazały, iż jest to mało prawdopodobne.

Widukind opowiada, iż Wichman wraz z Wioletami „zwyciężył w dwóch bitwach króla Mieszka... zabił jego brata i wywiózł wielkie łupy”. Bez wątplenia wyprawa wielecka miała na celu udaremnienie wysiłków księcia polskiego dążącego do zjednoczenia wszystkich ziem polskich, łącznie z Pomorzem, w jedno państwo. Wyprawa ta miała miejsce między 963 a 965 r. Bitwy zaś rozegrały się na terenie Ziemi Lubuskiej, opanowanej uprzednio przez Mieszka.

Klęska nie załamała jednak sił polskich. W 967 r. wojska Mieszka, wspierane przez konny oddział czeski, rozgromiły wyprawę Wolinian. Plemię to, władające wyspą Wolin i okolicami Kamienia, było najbogatszym plemieniem pomorskim. Wichman, który współdziałał z Wolinianami, poległ w czasie ucieczki.

W kilkanaście lat później w oficjalnym dokumencie zostanie Bałtyk na przestrzeni między Odrą i Wisłą nazwany północną granicą Polski.

Szerokim kręgiem płonęły ogniska na polanie, trzaskały smolne szczapy. Nad puszcza przewalał się wiatr. Kilka rosłych postaci kręciło się wokół ognia, reszta pokotem na ziemi spała.

Mnogie jest plemię Wioletów. Dzielne i odważne, na złą dolę hartowane. Były tylko Swaróżyc

[Swaróżyc (Swaróg, Daźbog) – bóg słońca u Słowian pogańskich. Świątynia jego znajdowała się w Radogoszczu, zwanym inaczej Retra (prawdopodobnie między Strzelcami Nowymi a Tyminem).]

wielki z Radogoszcza był z nimi, śmiało stawali przeciw największym siłom. Tym razem zaś wróżby świątyni nad jeziorem były pomyślne. W ziemi rozgrzebanej rękami kapłani wielkie zwycięstwo dojrzeli, koń święty

[Koł święty – według wierzeń Słowian pogańskich konia tego dosiadali bogowie. Z jego zachowania, stąpnąć, grzebania kopytem wróżyli kapłani. Różnie tłumaczono jego ruchy. Dawało to kapłanom możliwość wpływania na politykę wodzów, pozwalając rozstrzygać najważniejsze sprawy plemienne.]

lewą nogą przestąpił położony miecz.

Ochocza pieśń płynęła od ognisk, gdzie najdzielniejsi woje siedzieli. W bój zawsze szli pierwsi, a bliznami i ranami pokryci, szacunek mieli powszechny. Najstarszy układał pieśń,

inni jego słowom wtórowali. Daleko w ciszę nocną niesły się dźwięki wieleckiej słowiańskiej mowy.

- Wielkie jest plemię Redarów, wielkie i rozległe jak morze.
- Jak morze, jak morze, jak morze... – przeciągle powtarzali wojownicy.
- Chciał Mieszko Uznam i Wolin, i Odrę Wioletom odebrać...
- Wioletom odebrać...
- Woje wieleczy Mieszkowi ziemie zabiorą po Wisłę...
- Po Wisłę, po Wisłę, po Wisłę...

Nióś się śpiew borami, polanami, płoszył ptactwo i zwierza. Nie trwożył jednak ludzi, którzy ostrożnie, na kształt wężącego lisa wokół obozu krążyli. Z wolna wkradali się między spoczywające wojska. Oto wysłannik książęcy przesmykał się między drzewami. Nagle stanął jak wryty. Tuż przed nimi, w ciemności, siedzieli wojownicy wieleczy.

Musieli posłyszeć stąpania, bo przerwali rozmowę, a jeden dźwignął się i niespokojnie gałęzie rozgarnął. Wiatr szumiał poruszając wierzchołkami drzew.

Wojownicy uspokojeni gadali gniewnie:

– Oni i Wichmanowi gotowi oddać nasze ziemie, byle tylko Mieszko nie przyszedł i z władztwa ich nie postrzącał...

– Każą się nam z nim bić – dodał drugi – choć obyczaj u Polan

[Polanie – plemię słowiańskie osiadłe nad Notecią i Odrą. Uważani są za organizatorów i twórców państwa polskiego.]

ten sam i mowa podobna... Widziałeś rudego Niemca? Łakomym wzrokiem na nas patrzył, jakby już przeliczał niewolnych...

– A pewnie... Zawdy władyka

[Władyka – słowiańska nazwa znaczniejszego pana feudalnego.]

myśli, jak lenno

[Lenno – w ustroju feudalnym słabsi panowie feudalni zależni byli od możniejszych, tzw. seniorów. Ziemię nadawaną im przez seniorów nazywano lennem. Również słabsze państwo, uzależnione od silniejszego, nazywano państwem lennym.]

swoje pomnożyć, drogę naszymi kośćmi sobie mości...

– Lepiej by z Mieszkiem przymierze.

– I społem na Niemca.

Nie słuchał dłużej zwiadowca, śpieszno mu było siły napastników przeliczyć, więc zaczął ich ostrożnie obchodzić.

Woje dalej pieli długą pieśń przysłego zwycięstwa. Tysiące innych już legły pokotem wśród dymów. Tylko jeszcze pod wyniosłym dębem u skraju polany trzech mężów ze sobą gwarzyło. Dwaj ubrani jako woje wieleczy, tylko możniej. Znać wodze zdobywczej drużyny. Trzeci nosił się z saska; broda rudym płomieniem wylaniała się z mroku. Obliczem swoim też zdradzał przybysza. On najgoręcej prawił, tamci słuchali uważnie.

– Złość we mnie wzbierała, gdyście w Radogoszczu tak długo radzili. Gero miał wieści najpewniejsze, kiedy Mieszko nad Odry ujście wyruszy. Dzisiaj nikt nie wie, kędy się obraca. Czujność mieć musimy, by jak borsuka z jamy go wykurzyć...

– Nie chmurzcie się na nas, grafie Wichmanie. Nie nawykli Redarowie i Wolinianie walczyć pod wodzą Sasa. Przeciw Sasom częściej stawaliśmy... – Wojownik uśmiechnął się złośliwie, z ukosa spojrzął na Niemca.

– I co wam przyszło? Tyle że trybut

[Trybut – coroczna opłata składana przez państwo pokonane w wojnie.]

cesarzowi płacić musicie. Trzeba było od razu iść z nami ręka w rękę, na wschód uderzać, dziedziny rozszerzyć...

Wojownik już się nie uśmiechał, słowa jego zabrzmiały ostro:

– Wichmanie! A pomnicie, jak to Gero, wasz druh i kompan marchijski,

[Kompan marchijski – współnik (towarzysz) marchijski. Ziemie pograniczne cesarstwa zachodnioeuropejskiego dzieliły się na marchie zarządzane przez marchionów (margrabiów). Od połowy XIII w. nazwa ta oznacza jedną z dawniejszych marchii, mianowicie brandenburską.]

trzydziestu naszych wodzów na uczcie u siebie struć kazał? Idziemy dzisiaj z wami, bo Mieszko nam równie wraży, choć pobratymiec, wiary tej samej i mowy... Tyle że na dziedzinie nasze nastaje... Ale z Sasami przyjaźni za bliskiej nie chcemy. Ani wiary, ni mowy! Krzywda za tym zawždy stoi. Dzisiaj też by starszyzna wam wodzowania nie dała, gdyby do nas nie doszło, żeście z Ottonem wrogi zawzięte. Chcąc nawet, nie mielibyście komu nas sprzedać...

Graf Wichman patrzył spode łba na woja, zachichotał chrypliwie, aż trzeci z radzących wstrząsnął się i na las obejrzał, jakby puszczyka posłyszał.

– Dobre wieści macie, to prawda. Krzywy mnie Otton i jam mu niemiły. Dlatego z wami chcę być, waszej walce dopomóc. Teraz ruszymy na Mieszka, a potem może...

– Dosyć! – przerwał mu znowu olbrzymiej postawy wojownik. – Wrogi ci Otto, ale niewroga krew saska, bo twoja własna. Otto także niewieczny, a wtedy? Wtedy nie wiedzieć przeciw komu będziesz prowadził hufce. Może z Geronem znowu na nas runiesz? Kto wie?

– Gero dla was niestraszny, dalekie marchii ziemie, długa do was z niej droga. Mieszko wam już pierś kolanami tłoczy, Ziemię Lubuską w rękę trzyma, a kto Lubusz dzierży, ten Odry dobędzie...

Wojownik milczał długo, z westchnieniem skinął głową.

– Niemiła memu uchu, ale słuszna wasza mowa. Mieszko, choć pobratymiec, w trzewia wieleckie potęgą swą godzi. Sasi z drugiej strony. Na dwie strony nie damy rady. – Urwał, potem na niebo wskazał. – Gwiazdy błędąc zaczynają, czas spocząć, jutro długa droga przed nami, jeśli na Santok przedrzeć się chcemy. Śpijcie, Wichmanie...

Ledwie słowa ostatnie woja przebrzmiały, ledwie się Wichman skórą do snu zawinał, a ptak jakiś spłoszony sfrunął z gałęzi, już od dębu postać się zwinna oderwała, bezszelestnie zapadła między drzewa. O parę stajań dopiero cień leśny przystanął, ręce przyłożył do ust, krzyk przeciągły jak głos puchacza wydał. Wtedy głowę przechylił do przodu, stał czujny i baczny, czekał. Z drugiego krańca polany puszczyk zakwilił, drugi mu z lewa gdzieś odpowiedział. Spod sosen cień się jakiś poderwał.

– To ja, Lestko... Szykuj konie, pora do księcia nam wracać. Ważne nowiny!

Jak lisy zwinne wymykały się z lasu inne postacie. Sześciu ich było, zwiadowców książęcych. Ruszyli wolno, wprawnie kierując konie między drzewa, omijając spróchniałe, zwalone olbrzymy leśne, przesadzając zalane wodą wykroty.

[Wykrot – jama utworzona przez drzewo wyrwane z korzeniami.]

Tak wydostali się wreszcie na przesiekę

[Przesieka – droga utworzona przez wycięcie drzew w lesie.]

wąską śród boru.

– W cwał! – zawołał teraz dowódca. – Książę czeka.

Schyleni nad końskimi karkami, smagani kosmykami rozwianych grzyw, gnali duktem leśnym godzina za godziną. Piana z końskich brzuchów kapała płåtami na ziemię. Jeźdźcom nogi mdlały w kolanach. Aby szybciej do księcia.

Jaśniało już, gdy wreszcie z lasu na równinę wypadli, krzem drobnym i trawą jeno porosłą. Jeszcze zakole grząskiego rozlewiska – i już Noteć przed nimi mgliła się tocząc ciche wody. Jechali teraz brzegiem, szukając brodu. Niewidoczny dla obcego oka, tuż obok pasma trzciny ciągnął się pas płycizny. Spienione konie chętnie wchodziły w wodę, parskały, piły, potem człapały już spokojnie, przy środku płynąć nawet musiały.

Drugi brzeg był grząski, rozmiękły, dla ciężkozbrojnych niedostępny. Książę wiedział, co robi, lokując wartownię w bagnistych widłach Noteci i Warty. Wały potężne grodziszczą dobrą dawały obronę, a także i miejsce oddechu dla dalszych wypraw na zachód, ku morzu.

Natknęli się jeźdźcy na strażę, poznano ich, cisnęli się wszyscy z pytaniami. Dowódca przybyłych milczenie swoim zalecił, do księcia zaraz prowadzić się kazał.

– Książę śpi – odpowiedziiano.

– Sprawa ważna, budzić go każcie!

Skoczyli młodszy ze straży. Przed nimi widniał teraz ogromny w rannej światłości gród santocki. Podwójne obwarowanie z pali, głęboko w ziemię wbijanych, nieprzebytym pierścieniem otaczało siedlisko. Wieże wartowne jak góry niezdobyte patrzyły na wszystkie strony. Nie miał się kędy wróg tutaj prześliznąć, choćby zwinny był jak jaszczurka. Jeśli w bagnach nie ugrzązł, z dala go straż wypatrzyła. Dobre miejsce, warowne, a gród, że równych mu szukać trudno.

Weszli na próg grodowego zamku. Książę czekał ich już w dymem oczernionej komnacie. Był czegoś nieswój. Spiesznymi krokami z kąta w kąt biegał, czasem przystawał, pięścią ścianom wygrażał. Niewysokiego był wzrostu, tyle że krępy i w sile niespożyty.

– Wróciliście? Chyciłeś języka? – Klepnął po ramieniu dowódcę. – Cniło mi się za tobą, Stanko... No, gadaj.

Skinieniem odprawił rycerzy, został tylko z przybyłymi. Nie siadał, po izbie ciągle chodząc jak wilk w klatce.

– Redarów zdybaliśmy – mówił Stanko. – Są z nimi Wolinianie, a wszystkim graf Wichman dowodzi. Rozmowę jego z wodzami Wioletów słyszałem.

Mieszko ręką machnął.

– Gdzie są Wieleci?

– Godzin trzy drogi od Cedzyny, książę.

– Co? – W głosie Mieszka brzmiało najwyższe zdumienie. – Kiedyż zdążyli tak podejść?... – Zafrasowany ścisnął garścią skronie. – Nie my ich, ale oni nas zaskoczyły pragną!

Na Stanka już więcej nie patrzył. Pozostałych rozpytywał o poczynione zwiady. Rozwodzili się dokładnie, Mieszko często hamował ich słowa pytaniem ostrym a czujnym, aż w głowę zachodzili, skąd tak od razu mógł sprawy rozeznąć.

Gdy skończyli, odesłał ich, Stanka jeno zostawując przy boku. Potem pana poznańskiego, który wraz z drużyną tu ściągnął, kazał przywołać. Czekając usiadł na ławie dębowej, skórą nakrytej, patrzył bystro na Stanka. Woj także przysiadł pobok, przeciągał się, wypędzał znużenie z kości.

– Siła ich?

– Wojska Wolinian, Redarów, jeszcze pomniejszych, tysiące ze trzy będą, to pewne. I pancerna drużyna Wichmana...

Książę pięści zacisnął.

– Ci wiele się w bagniskach nie nawojują! Tu lekkozbrojny coś jeno wart...

Wszedł komes [*Komes – pan (w znaczeniu pan feudalny)*]. Nisko się skłoniwszy, siadł na zydlu. Teraz dopiero Stanko dokładnie rozmowę Wichmana powtórzył. Zastanawiali się, co by oznaczać mogła przyjaźń takowa powinowatego Gerona z wieleckimi ludami.

Mieszko głowę rękami podparł, dumał nad stołem. Patrząc na wojów, półgłosem jął prawić:

– Graf Wichman na dworze Gerona ostatnimi czasy przebywał. Że Gero miał go u siebie dosyć, to jasne – nie chciał się Ottonowi narażać, który na Wichmana jak na zwierza dzikiego patrzy, tak mu nadojadł... Wichman też mocno go kocha, nawet krwi nie poskąpiłby, ale Ottonowej... Rzecz w tym, czemu Gero przeciw nam krewniaka z Wioletami posyła. To chyba, że na Łużycach, które zajął niedawnymi czasy, ma sporo roboty, nie chce

więc Redarów w tym czasie mieć przeciw sobie. A że oni, jak i Wolinianie, jak i inne jeszcze wieleckie ludy, z Niemcami walkę wiodą, wołał ich na nas podburzyć, że to niby nad Odrę i morze idziemy...

Podniósł się zza stołu, powtórzył twardo:

– Tak, to Gerona myśl będzie; uchylić się, a nam kłopotu przysporzyć... Ale nie pewnego... Bracia moi dotąd nie wrócili. Czycibora na pomorskie granice wysłałem, młodszy pewnie zaraz nadejdzie, tylko go patrzeć. Jemu i wam, komesie, drużyny przekażę, trzecią weźmie Wartko santocki, czoło ja poprowadzę. A gdzie się bić będziemy, to jeszcze obaczymy. Noc dobra jest do myślenia, noc zawsze myśli do głowy przywodzi. Teraz porządku dopatrzcie, niech nasi do boju będą gotowi...

Został sam. Siła się waliła na to księstwo, które dopiero co dźwigać zaczął, zręby pasować. Nie szło to łatwo, o nie. Wrogowie łakomie patrzyli. Wieści zewsząd szły niewesołe. Teraz Gero podbił Łużyczan. Nic do nich Mieszkowi, ale zawdy to pobratymcy. Wróg nową wiarę tam mieczem krzesał. A nad Łabą także walki z Niemcami wieleckie plemiona wiodły.

Westchnął księżę ciężko. On też przecie Wioletów bił, ku Pomorzu się przebijając. Ale to była konieczność. Wiedział, że bez morza długo jego księstwo nie strzyma. Morze mieć musi koniecznie. A on Wolinianom ani Redarom wiary nowej narzucać nie będzie, równie mu ona daleka jak im. O, gdyby zechcieli po dobrawoli z nim się połączyć, jednego księcia mieć i jednej sprawie służyć... Ziemie w jedno połączyć, jak dotąd z innymi bywało, siłę stworzyć i Niemcom się opierać, którzy chcą zdusić słowiańskie krainy...

Długo siedział tak Mieszko o czarny stół oparty. Miodu potem przynieść dzban kazał. A gdy bracia wrócili, długo w noc z młodszym po wałach grodu chodził, coś mu pokazywał, plany boju obmyślał.

II

Ciemno jeszcze było, gdy dziesiętnicy poczęli budzić swych ludzi. Zrywali się szybko, zbijali w gromady. Milcząc wyczekiwali rozkazów. Szepty tylko przytłumione, szcęk broni i zbroi, parskanie koni i nieliczne światła pochodni wskazywać mogły, że coś się dzieje w grodziszczu.

Noc przyniosła radę Mieszkowi. Kroczących na niego Wioletów sam pragnął zaskoczyć. Jeśliby, jak to Stanko w obcym obozie posłyszał, wyszły ich wojska wczorajszego ranka, to piechotą przez lasy i bagna nie będą tu prędzej jak na drugi dzień wieczór. Trzeba im wyjść naprzeciw, zasadzkę uczynić...

Drużyny, jedna za drugą, schodziły z wałów. Na straży grodu pozostał jeno Czycibor, brat Mieszkowy. W razie potrzeby z wojami swymi na pomoc miał ruszać.

Reszta szła porządkiem z góry ustalonym. Jak cienie brnęli przez bagniste łąki, przez bród się przeprawiali w milczeniu.

Obok księcia jechał przyboczny jego, Stanko, szeptali coś do siebie. Przystanęli, oddział pana santockiego naprzód puściwszy. Pan swoim rozkazy wydał, szybszym krokiem ruszyli przez trawę bujną, wysoką, rosłym męzom do ramion sięgającą. Wkrótce przepadli w mroku. Mieszko z uznaniem kiwał głową. Wszakże ci woje to była siła jego księstwa.

Ranek zastał już wojska rozstawione, do boju uszykowane. Mieszko rad był z zasadzki. Główne siły, oddziały jego, brata i poznańskiego pana, skryły się u wniścicia do puszczy aż pod Cedzynę wiodącej. Oddział pana santockiego na wiorst parę w głąb lasu wkroczył, tam się po obu stronach traktu leśnego w gąszczu zielonym ukrył. Tam mieli na wroga uderzyć, a potem, niby to ustępując, na ugory i łąki nadbrzeżne sprowadzić pościg nieprzyjaciela. Znał

Mieszko, że Wolinianie, a i Redarzy, dobrze w bojach leśnych wyćwiczeni, na polu odkrytym nie poradzą, szyku nie utrzymają.

Dłużyło się wojom oczekiwanie. Parło ich do boju, do starcia z obcymi. Niejedną zwycięską wojnę pod Mieszkiem stoczyli. Dzielnego mieli księcia, a i hojnego. Nigdy za zasługi nagród wszelakich nie skąpił, wojów zaś nad wszystko miłował... Rozmawiali po cichu, rozłożywszy się w puszczy. Dęby tu rosły ogromne, że i w trzech chłopa nie objąć, obok sosna z jodłą igliwiem mościły leśne poszycie. Dołem leszczyna szeroko rozchylała gałęzie. Łamiąc liście paproci, na kozuchu burego mchu wygodnie legli. Po drzewach baraszkowały wiewiórki. Ciskali w nie szyszkami. Nie bały się, uskakiwały na wyższą gałąź, znowu ślepiły ciekawie.

Przy samej przesiece śmiechy się niosły, aż się pan zżymnął, już śpieszył uspokoić niewczesną wesołość wojów. Jaźwicz [Jaźwicz – borsuk.] zaspany wylazł nagle spod krzów, zdumiony natknął się na nie znane mu stworzenie – człowieka. Węszył, potem zafukał groźnie, zachrząkał, potoczył się na swoich krótkich nogach, grubym zadem niemal po ziemi wodząc. O mało nie wlaź na innego woja. Wtedy zaczął się kręcić w kółko, ryja do przodu wystawiać, wachać, aż ślipia mu wyłaziły. Nurknął wreszcie w jakąś szczyrbę pomiędzy ludzkimi leżami, chrzęst jeno poszedł po lesie. Ktoś za nim włócznią chciał cisnąć, ale dał spokój. Nie na łowy tu przyszli.

Dochodziło południe, zwiadowcy na rozpoznanie pchnięci nie powracali. Znać, że wróg jeszcze daleko. Wojom się jeść zachciało, wyciągali placki jęczmienne i żuli chciwie, z mlaskaniem.

Senność na nich spadała w tym ciepłe letniego dnia, w zapachach leśnych. Dziesiętnicy zważali pilnie, poszturchiwali drzemiających, by wstydu książęcej drużynie nie przynieść.

Wiatr najmniejszy nie mącił ciszy południa. Liście drzew obwisły w słońcu.

Nie podobała się wojom ta cisza jakby złą wróżbę niosąca. Wyglądali znaku, czekali na bitwę. Nic tak wojska nie męczy, jak długie czekanie.

Nagle przerwał ciszę trzask łamanych gałęzi, blisko, a dalej jakby gwar liczny czy tupot wielu nóg przez las biegnących. Woje naprężyli się do skoku, szyje naprzód chciwie wyciągali, wyglądali...

Zabrzmiała jakaś rozmowa śpieszna i zaraz ukazał się woj skrwawiony, z bezwładnie zwisłym ramieniem, o druha wsparty. Skoczył pan ku niemu, nuż dopytywać, co zaszło.

Tyle się zdążył dowiedzieć, że Wolinianie daleko lasem czaty obeszli, zaskoczyli, ubili wszystkich krom jednego. Ten, ranion dzidą, zdołał zmylić pogonie, do swoich pośpieszył, jeno mu słabość nie dawała biec, bo krwi wiele utracił. Wieleci tuż, za chwil parę będą...

Nie było czasu pytać więcej. Od strony lasu brzmiały już okrzyki, jakby wieść jakąś obwieszczające, potem zawyło na przesiece, tupot, trzask, zza drzew wynurzyli się Wolinianie, na polańskich wojów biegiem ruszyli. W półkoszulkach drucianych – wiedzieli woje: w Wolinie takie robiono – dzidy wystawiając, parli do przodu. U boków przesieki przyklękali na chwilę łucznicy, napinali cięciwy, stada strzał z furkotem przecinały powietrze, znowu podnosili się z klęczek, rwali dalej.

Woje pana na Santoku ze swym zawołaniem skoczyli do przodu, wpadli na wroga, ścięli się. Brzękało żelazo, fruwały włócznie, coraz ktoś z jękiem padał. Ale wrogie drużyny zalewały już las dokoła, parły przesieką. Nie było rady, musiał komes dawać hasło odwrotu. Tyle że nie udawali, ale naprawdę uciekać musieli. Przyłożył trębacz róg do warg, zadął raz i drugi. W tejsze chwili bezsilny na ziemię się zwałił ze strzałą w plecach.

Odcinając się nieprzyjacielowi, cofali się woje na skraj boru, ku łąkom. Ale rychło, rozbici, uciekać poczęli, gdzie kto mógł: rwali w las, skakali przez wykroty i zwalone pnie drzew, aby prędzej, aby dalej od wściegłego naporu.

Od kraju lasu zabrzmiał róg, uciekający woje wpadli na swoich, Wieleci goniący chcieli zatrzymać się, zaparli się za daleko, z krzykiem rzucili się znowu do boju. Zawrzało wśród

wysokiej trawy, na wydmuchu porośłym jeżyną. Mnożyli się Wieleci, sypali się z lasu, zdawało się, jest ich bez liku.

Mieszko zostawił tu brata, by odparł pierwszy atak na leśnym brzegu, sam zaś ze swoimi i oddziałami pana poznańskiego odsadził się nieco dalej od zarośli, przyczaił się za pagórem, aby strzały pierzaste i grotty ostre nie były tak groźne. Tu, bacznie na bitwę zważając, czekał na główne siły nieprzyjaciela. Brat na skraju stepowym dobrze sobie dawał radę; nie mogli Wieleci naprzód ni kroku postąpić.

Dopiero raptem, o stajają kilkanaście może, na lewo i prawo wychynęły się nowe oddziały Wioletów, chwilę patrzyły na Mieszkowych wojów, a potem, widać pchnięte rozkazem, naprzód runęły. Siła ich było. Nie myślał Mieszko, by tyle wojska mieli.

Brat książęcy wycofał się teraz ku głównym oddziałom. Wnet oba wojska starły się z wrzawą.

Cofnęły się pod naporem wojska Mieszkowe. Zdawało się, podadzą pole. Ale nie, z wolna umacniały się, murem stawały przeciw wrażym siłom, rąbały słynną już u sąsiadów polańską sztuką.

Słońce parzyło mocno, pot zalewał oczy rycerzy. Walka trwała ciągle. Polanie zaczęli brać górę, Mieszko początkowo sam walczył, zwał jakiegoś znacznego widać Wioleta, bo najbliżsi jęk bólu czy trwogi wydali, widząc padającego. Potem książę wycofał się na bok, z trębaczem u boku rozkazy dawał całosci.

Wyraźne już było Polan zwycięstwo. Mieszko radosnymi poczynął błyskać oczyma. Wieleci cofali się powoli.

Tuż pod lasem żalosne wołanie wielu piersi zakołysało nagle upalnym powietrzem. Spojrzał książę, żylastą ręką oczy przed słońcem przesłonił. Daleko, na drugim skrzydle spadł z konia brat jego dziadą przebity. Zadrzał Mieszko, brat to bowiem szczególnie sercu jego był luby.

Wszędy już Wieleci pierzchali jak przedtem w lesie Polanie. Zwycięstwo było w Mieszkowych rękach, gdy prawie że od tyłu, z zarośli nadbrzeżnych okrzyk bitewny znów się podniósł. Zerknęli Mieszkowi, struchleli. Chytrym wybiegiem okrążyli ich wrogowie. Waliły od tamtej strony nowe oddziały Wioletów. Na czele ich sadył konno rycerz, bogato i obco odziany. Błyskał pancerz – poznali: Wichman. Za nim Wolinianie w pierwszym szeregu, na prawo Redarowie.

Zadrzały wściekłością polańskie serca. Tym zastępom już nie dadzą rady. Ale miast trwogi zajadłość większa jeszcze w ich dusze wstąpiła. Z nowymi siłami skoczyli na wroga, odpierali ataki z dwóch stron, bo na widok odsieczki uciekające wieleckie oddziały zawróciły z krzykiem na pole. Znów wszczął się tumult, pył, wrzawa. Polanie i Wieleci. A obok niemiecki graf Wichman. Hej, sławić będą ten bój pieśniarze, pierwszy taki bój na Ziemi Lubuskiej, hej!

Porwał się Mieszko na czoło swoich oddziałów, oczyma szukał Wichmana, na niego chciał uderzyć. Drogę zagroził mu Stanko, krzyknął:

– Wichmana jeszcze dostaniesz, teraz Santoka trza bronić!...

Szczerwieniwał Mieszko wstydem, że dał się ponieść ochocie, gdy o większe rzeczy chodziło. Dał znak trębaczowi, ten zagrał, wskazał Polanom kierunek:

– Na bród, naa bróóóóó, naaa bróóóóó! – grało echo rogu.

Nie rozsypali się jeszcze Polanie, karnie się bili, twardo ścinali z wrogiem. Trupy padały gęsto ze stron obu, tyle że Wioletów było siła więcej. Tylko tym wygrywali, z równą bo zaciętością po obu stronach walczone. Aż się zdumiewał Wichman czujnie wpatrzony w zmagania...

Krok za krokiem, zmęczeni i spotniali, przyklękając raz po raz dla oddania strzał, rąbiąc mieczami, kłując włóczniami, ustępowali Polanie ku rzece. Ledwie na mokradło zeszedli, stało się, jak mówił onegdaj Mieszko – ciężkozbrojna przyboczna drużyna Wichmana utknęła w

miejscu, wysiekli ją do nogi santoczanie. Ale Wieleci nie bali się zdradliwych bagien, parli do przodu, spychali polańską drużynę.

Nad brodem bój rozgorzał najkrwawszy. Chcieli Wieleci drogę zastąpić, przejścia do brodu obronić, w ten sposób Polan osaczyć, do nogi wybić. Runął Stanko ze swymi w tę stronę. Krwią się zalewając, wolno przejście dla innych rąbali. Powoli dziesiątek za dziesiątkiem zsuwali się woje w wodę wzdłuż pasma trzciny. Niektórzy głębinę wpływ przebywali, byle na drugi brzeg się dostać.

Kilkunastu co tęższych łuczników wieleckich z boku przykłękło, ślali strzały z łuków potężnych w głowy i tułowia przez rzekę uciekających. Świstało nad przepławą. Krew się mieszała z wodą pociemniała od zbełtanego mułu. Spływały ciała obrońców. A na brzegu bój trwał nadal zacięty. Mieszko, na przeciwległej stronie stojąc, krwią na policzku umazany, trębaczowi znaki dawał, by odwrót pośpieszyć...

Coraz mniej Polan ostawało na drugiej stronie Noteci. Coraz więcej trupów spływało w dół rzeki. Nieprzyjaciel zaczął już bród forsować. Do tego nie można było dopuścić. Padły rozkazy. Polanie znowu zaczęli szyki formować, przejścia bronić. Co który z Wioletów na płytsze wychynął, wraz go ostra włócznia godziła albo topór ciał po szyi.

Wrócił duch Polanom, coraz mocniejszy opór dawali. Zabrzmiały swojskie wołania. To Czcibor część santockiej załogi przysyłał z odsieczą. Cofali się od brodu Wieleci. Wichman stał z dala pod pnem nadbrzeżnej olszyny, uważnie śledził walkę. W pewnej chwili dał swoim znak ręką. Powtórzyli rozkaz dowódcy pomniejszych drużyn, zawracać jęły oddziały. Wielu jeszcze padło w wodnej topieli. Nie szczędzili Polanie nikogo.

Aż stało się tak, że z dwóch przeciwległych stron Noteci spojrzeli na siebie dwaj wodzowie. Mieszko żuł węża, zły, strapiony i wstydu pełen. Nie znał jeszcze tak ciężkiej przegranej. Brata utracił, wojów mu pobito. Ale jeszcze nie uległ, jeszcze nie koniec zmaganiom. Aby tylko do Santoka wrota zawrzeć i szykować obronę, bo Wichman pewno na gród uderzy... Wie on, że na nic zwycięstwo w polu, dopóki ściany santockie stoją. Bo Santok to klucz tej ziemi...

Wichman także ponuro spoglądał na drugą stronę, na postać Mieszkową nieugiętą i dumną. Wiedział, jeśli rzeki nie udało mu się przekroczyć i Santoka pochwycić, to dalej będzie ciężko. O grodzie santockim słuchy chodziły między Łabą a Odrą, mocny był gród i do obrony dogodny.

Wojska wieleckie cofnęły się w lasy, a Mieszko, zostawiwszy mocną straż złożoną z Czciborowych wojów, resztę za wały santockie wprowadził.

Wnet zapadł zmierzch i czekanie na wroga ciążyło załodze. A obaj dowódcy w lśnieniu rzek się wpatrywali; każdy z nich zamiary przeciwnika próbował odgadnąć.

III

Noc. Gęste chmury zaciągnęły niebo, przysłoniły gwiazdy, słuchem się tylko strażę rozpoznawały.

Szła praca bez przerwy. Umacniano wały, toczono kamienie i kłody ku wieżom, palono pod kotłami, by mieć ukrop i smołę. W pękach składano strzały i włócznie. Wspierano o częstokół długie, zębate bosaki do spychania napastników ze ścian grodu. Ustawiano pełne kadzie i cebrzy. Wysuszone dyle [*Dyl – płat drzewa z pnia przepiłowanego na połowę; bal.*] zlewano wodą, by przed ogniem je zabezpieczyć. Straże czuwały, zwiadowcy czaili się na błotnistych łągach dokoła grodu, bacząc, czy wroga gdzie nie spostrzegą.

Ale na błotach cicho było, jeno bekas czasem przez sen zakrzyczał, szwargotały żaby, których moc była tu niezliczona, wydra czy bóbr pluskaniem mącił spokój nocy.

Utrudzeni walką przysiadali woje około przyciesi [*Przycieś – podwalina ściany drewnianej.*]. Głowy im w spiczastych szłomach [*Szłom – hełm.*] opadały na piersi, drzemali.

Nagle poruszyły się stráže. Coś działo się w ciemności. Niespodziewany o tej nocnej godzinie, przeciągnął nad wodą klangor czujnych żurawi, raz i drugi. Od strony Warty i od Noteci, z obu brodów. Z mgieł bagiennych odezwały się wołania Czyciborowych wojów strzegących płycizny z rozkazu księcia.

– Idą! – rzucił któryś z wojów.

Na wałach basową nutą zabrzmiał róg. Wezwanie do boju!

Zabłyły pochodnie przy wieżach. Oświebliły migotliwym blaskiem twarde oblicza wojów Mieszkowych. Ręce chwyciły za włócznie, za bosaki, imiły się kamieni. Nowymi naręczami suszu sycono ogień w paleniskach. Kipiała smoła, bulgotała w kotłach, przelewała się przez brzegi, buchając dymnym płomieniem.

Woje słuchali z natężeniem. Gwar bitewny dobiegał tylko od strony głównego noteckiego brodu, kędy uchodzili dzisiaj przed Wioletami. Cóż więc znaczyły owe wołania żurawi w bagniskach po obu stronach grodu?

Niespodziewanie zawyły w ciemności zachrypnięte gardziele. Gromady ludzi biegly ku wałom, wytrzeszczone oczy obrońców zaledwie nikłe cienie mogły odróżnić. Dopiero gdy zapaliły się setki smolnych pochodni, pojaśniało przed grodem. Wieleci wymachując żagwiami wdzierali się na wał, rażeni pociskami padali z pluskiem w wody fosy. Wytracone pochodnie sypały iskrami dogasając w zroszonej trawie.

Inne grupy uderzały pod osłoną ciemności. Blaski dalekich ogni pokazywały chwiejne jak cienie postacie napastników, jękliwą nutą zaśpiewała ponad palisadą pierwsza strzała.

Mieszko dowodził obroną. Ze ściągniętymi brwiami przemierzał wały. Zdawał się liczyć ogniki wieleckich pochodni. Gromko wydawał rozkazy. Dyszał ciężko, jakieś słowa przekleństwa mełł w zębach.

Pierwsze drużyny Wioletów podchodziły pod wał od strony Warty. Z wolna pojmowali obrońcy, że ich Wichman w pole wywiódł. Gdy część jego wojów atakowała przeprawę notecką, innym udało się odnaleźć kręty bród przez Wartę i tamtędy przedostać się pod same wały Santoka.

Rozgorzała zacięta walka. Napastnicy pięli się po grubych bierwionach, przystawiali drabiny, zarzucali haki na sznurach, by osiągnąć grzebień ostrokołu. Z góry ciskano na nich kłody, kamienie. Tarcza nie była osłoną. Z okropnym krzykiem staczały się w dół zmiażdżone ciała napastników.

Zgiełk bitewny echem podwajała puszcza. Spłoszone bobry opuszczały niedalekie żeremia [*Żeremia bobrowe – osady bobrów; domki budowane przez nie z gałęzi i mułu.*] i płynęły w górę rzeki. Przestraszone łanie wiodły potomstwo w głąb kniei.

Pierwszy szturm został odparty. Wieleci cofnęli się pod osłoną nocy, nie zapalali ogni. Dziedziniec grodu jarzył się od pochodni. Mrowiły się na wale sylwetki obrońców, błyskały ostrza włócznie.

Rozciągnęli się Wieleci szerokim kołem, z trzech stron podchodzili pod gród. Czwartej broniły bagna, nie wysychające nawet w upalne lato.

W jednych miejscach czynili wrzask przeraźliwy, w innych pełzali jak jaszczurki. Obrońcy byli czujni. Lekki plusk w fosie zdradzał nadchodzącego nieprzyjaciela. Jeszcze woje wieleczy nie zdążyli wydostać się z wody, a już leciały im na kark głązy. Już im nad głowami zakłębili się Polanie. Sycząc połała się roztopiona smoła. Przenikliwie wrzasnął oparzony wojownik wielecki. Na próżno nurzał się w fosie. Palilo żywym ogniem. Padali polegli u podnóża wału.

Nagle frunęły płonące strzały, śmigały łukami ponad wałem, opadały na dachy zabudowań. Gasły, to tlić się poczynały, lęk ogarnął obrońców. Świetliste smugi rysowały się w głębokościach nocy.

- Gore! – zabrzmiał głos jakiś spomiędzy stłoczonych chałup krytych trzcina.
- Wody, wody! – wołano.

Zatliło się poszycie na dachach, zajęły się krokwie. Gaszono jedne ognie, wybuchały inne, coraz liczniejsze. Smolne, wysuszone upałami drzewo łatwo porastało czerwonymi jęczorami. Walczono z ogniem i wrogiem. Włócznie, ciskane silną dłonią, przygważdżały napastników, ale już nowe ręce czepiały się pali, głowy pojawiały się ponad ostrokołem. Pot zalewał oczy obrońcom. Płuca dyszały ciężko, serca kołatały z wysiłku.

Mieszko gnał od wieży do wieży, sam pożary gasić pomagał, włócznie spychał szturmujących. Jak cień bezszelestny sunął przy nim Stanko. Gruby, basowy głos Czcibora dodawał otuchy załodze.

Zajaśniało krwawo. Rozdarła się ciemność. Mocniej pchnęły ramiona długą włócznie, o drabinę zaczepił bosak żelaznym hakiem, z rozmachem ciskano kamienie.

Jednak jasność nie gasła, wdzierала się na sklepienie niebios. Wieża w środku siedliszca buchnęła płomieniem. Rzucili się obrońcy, by ją gasić. Wał zasnuwał się dymami. Niosło zamieć iskier. Dławiło w krtani.

Wichman pchnął odwody

[Odwód – rezerwa; część wojska zostawiona na przypadek niespodzianego obrotu bitwy.]

do natarcia. Zahuczeli radośnie Wieleci. Nowy szturm, ostateczny.

Poddał się gród ogniewi. Santok płonął. Mieszko pojął klęskę.

Na znak dany przez księcia przejściem tajemnym uchodzić zaczęli pozostali przy życiu obrońcy. Przepadali w trzinach, brnęli przez bagnisko, ścieżką znaną tylko Czciborowi i zwiadowcom. Osłonę stanowili woje z załogi Santoka.

Nieliczna już jeno garstka załogi opierała się na wale. Z bólem i miłością spojrział książę Polan na ostatnich obrońców. Zostawali na zaturę, by swymi ciałami druhów osłonić. Rycerskie piękne prawo wojny.

Nie był Mieszko zwyczajny od wroga uchodzić. Targnął węża, dłonie zaciskał na głowicy miecza. Wolałby walczyć do ostatka, choćby zginąć, jak na woja przystało. Ale nie odpowiada on tylko za siebie, dźwiga na barkach całe księstwo. Trzeba gotować się do porachunku z Wioletami i zdradzieckim ich doradcą – Wichmanem.

Za nimi zostawała łuna płonącego Santoka, ścichła wrzawa radujących się zwycięstwem wieleckich wojów.

Gasły z wolna gwiazdy.

Wyszli z mokradeł na skraj puszczy. Kazał tu książę wojom przystanąć. Spojrzął na nich, przeliczał. Odszukał wzrokiem nosze, na których niesiono zwłoki jego brata. Oczy pełne goryczy obrócił w stronę, kędy dymił jeszcze zgłiszczami Santok, klucz lubuskiej krainy, klucz do władztwa nad Odrą i morzem.

Z wolna się począł prostować, dźwignął czoło. Widziała drużyna, jak siła nowa wstępuje w serce Mieszkowe. Twarz jak z żelaza. Patrzał uparcie na zachód.

– Santok odbijemy. A potem pójdziemy na Pomorze. Odrą do miasta dwunastu bram wkroczymy, wieleckie plemię włączymy w księstwo.

Pojęli woje, że słowa brzmią jak uroczysta przysięga.

Mieszko zaś oczy na zwłoki młodszego brata obrócił, rzekł cicho, jakby do siebie:

– Wezmę pomstę na Wichmanie. Nie będzie on bezkarnie najeżdżał dziedzin polańskich. Nie będzie deptał zagonów naszych.

Zamigotały drzewa w pierwszych promieniach słońca. Odezwało się ptactwo w gałęziach.

Książę szedł pierwszy, kroczył tak raźnie, jakby świeżo wstał z łoża.

Nie złamała go klęska. Już liczył ostrza nowych załóg, które na szlaku zachodnim osadzi. Myślał o Odrze, o wielkim mieście Szczecinie i bogatej wyspie Wolin. Uśmiechał się Mieszko do dni swego na tych ziemiach panowania.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI